

O JASIU DREGZYCIELU O JÓZIU GAPICIELU O CESI CMOKOSI i O SPALONEJ ZOSI.



To jest brzydki nad brzydki.
Co się dotąd nie mył wcale.
Na pół łokecia ma paznogie,
A czuprynę na dwa łokecie.

Słabszych bij, wciąż im
Lecz silniejszych to
Jak tych gasek, co
Chcą brzydala wz



Czy też znacie Pana Jana,
 Co za ledwie wstanie zrana,
 Już z nim każdy ma ambaras,
 Bo dokucza wszystkim zaraz?



Co ma jedną wciąż robotę:
 Jakby komu splatać psotę?
 Prosi mama, grozi tata,
 A on ciągle figle płata:
 W domu, w sadzie, broi wszędzie!
 Ej, co też to z niego będzie?

To na igły lub na szpilki
 Wsadza żuczki i motylki,

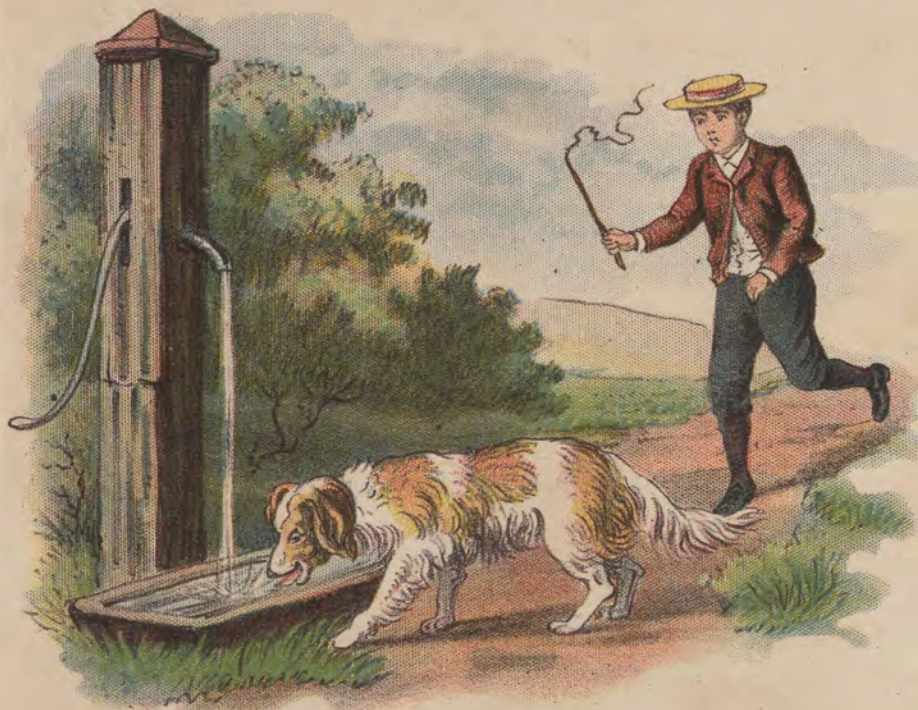


Czy też znacie chłopca tego,
 serduszką słynie złego,

[1894]



To znów bije gąskę biedną...
 Ot, gąsiątko zabił jedno!



Raz kocinę złapał mała,
 Jak biedactwo to miauczało!
 Jak błagało go daremnie:
 „Miau! puść, Jasiu! niemęcz że mnie!
 A ten brzydki Jaś niecnota
 Z dużych schodów zrzucił kota!
 I cóż kotek mu zawinił,
 Że kaleką go uczynił?”



Trzask! uderza i ucieka.
 A wtem gniewnie pies zaszczeka.

—Przecież ci nie wlażłem w drogę?
 I urwisa cap! za nogę.
 Oj! aj! boli!... krew się leje,
 Janek krzyczy, prawie mdleje.
 Spuchła noga do wieczora,
 Więc posłano po doktora.



Krzyczy, wrzeszczy! hu! ha! ha! ha!
 Swym biczykiem ciągle macha;
 To też płacze mama jego,
 Że ma synka tak psotnego.

Raz pies wodę pił u studni:
 Już Jaś pędzi, że aż dudni.



Przyszedł doktor, opatruje:
 A tu rana szczypie, kłuje.
 Tydzień było bólu, krzyku,
 Tydzień Jaś był na kleiku;
 A obiadek wyśmienity
 Jadł za niego Bryś obity.

Ō Cesi, co ssała paluszek i o krawcu z łożycami.



Mama tylko straszy mnie,
Skądby krawiec wziął tu się?
Gdzieżto zresztą krawców znają,
Co paluszki obcinają?
O tem, choć mam piąty rok,
Nie słyszałam — i znów: „emok!”
Raz, na miasto idąc mama,
Rzekła: „Cesiu! będziesz sama,
Grzeczną bądź! przyniosę gruszek.
A pamiętaj!... wiesz?... paluszek!”
Ledwo się zamknęły drzwi,
Cesia mówi: „Ej co mi!
Possię trochę... tak... troszeczkę,”
Raz jedyny, przez chwileczkę...
I paluszek w buzię chlup.
Wtem ktoś biegnie: tup, tup tup!
Wpada krawiec, strasznie zły,
„Palec — woła — utnę ci!”
Zdjął okropny Cesię strach!
Słyszy groźne: szach! szach! szach!

Była jedna Cesia mała,
Co paluszek ciągle ssała,
I choć miała piąty rok,
Jak niemowlę, wciąż: emok! emok!
Mówi mama: „Brzydka wada!
Ssać paluszka nie wypada!
Moja Cesiu, nie martw mnie,
Bo zobaczysz, będzie źle!
Przyjdzie krawiec zły okrutnie,
I paluszki Cesi utnie...
Ach! już nikt by ich nie zszył,
Toż dopiero płacz by był!”
Ale Cesia myśli sobie:
„Ej, toć złęgo nic nie robię!



Tak to było! No i cóż?
Cesia palca nie ssie już;
Nauczka ją poprawiła,
I już panna z niej jest miła.



Tnie zły krawiec nożycami,
A sukienkę krew już plami.
Skaleczywszy, jak duch znikł.
Biedna Cesia w płacz i w krzyk
Wehodzi mama: „Co ci to?
Cesia beczy: „Och! och! o!”

I za ledwie wyrzec może:
„Był tu krawiec... Ach, mój Boże!
Mamo, mamo!... rączka chora!
Bez paluszków... Po doktora!”
A mamusia: „Widzisz sama
Że radziła dobrze mama!
Przestrzegałam! jak to źle,
Gdy panienka palce ssie”!
Jak naprawdę było tam,
Ja w sekrecie powiem wam:
Ten zły krawiec, to przebrany
Cesi Wujek był kochany.
Wielkie on nożyce wziął,
I niby to palce ciął;
Lecz choć „utnę” groźnie wrzasnął,
Ledwie trochę Cesię drasnął.
Ta w przestrażu zaś myślała
Że bez palca już została.



11528 MKD

Historia Stefańka, co niechciał jeść obiadu.



Nikt ze Stefciem grymaśnikiem
Nie mógł przyjść do ładu:
Jadłby chętnie konfiturki,
Nie chciał jeść obiadu.
Gdy mu dadzą smaczną zupkę,
Lub kawałek mięsa,
Ani łyżki nie wypije,
Nie zje ani kęsa.
Biedna mama, widząc nieraz,
Jego kwaśną minkę,



Pyta: „Stefciu! Czyś ty chory?
Zjedz-że odrobinke!
Zjemy razem, dobrze, synku?
Ja przy tobie sięde...”
Ale Stefcio krzyczy: „Nie chcę!
Nie chcę jeść! Nie będę!”



Kara w końcu go spotkała,
Bo ot, co się dzieje:
Pan Stefanek grymaśnicki
W oczach mizernieje.

Dzień nic nie jadł, nie jadł drugi,
Osłabł tak na trzeci,
Że zaledwie kroki stawia,
Jak maleńkie dzieci.
I nadziwić się nie mogą
Znajome chłopczyki,

Bo ma nogi pan grymaśnik
Cienkie jak patyki!
Na dzień czwarty gdy z fotela,
Ruszyć się nie może,
Począł Stefcio lamentować:
„Ratujcie!... Ach, Boże!...”



Jakieś leki obrzydliwe
Łykać trzeba było,
To też teraz pan Stefanek
Zajada aż miło.

Ó panu Kręcickim i o smutnym jego wypadku.

Hej! Hej! Miły Boże!
Jak ten Jurek broić może!
Jak ta cyga, jak ta fryga,
To się rusza, to podryga.
Wciąż się kręci jak szalony:
To z tej strony, to z tej strony;
To się schyli, to się wzniesie,
Ej, czyż on się chował w lesie?
Patrzcież-no na tego Jurka!
Czy to chłopczyk, czy wiewiórka?
Czy to małpka, czy to skoczek?
A ma przecie siódmy roczek!



Porcelana już rozbita!
Zdarł z nakryciem obrus cały;
Wszystko tłucze się w kawały;
Pokaleczył się szkłem Jurek.
Tak się też przestraszył Burek,
Że z pod stołu, gdy umyka,
Ugryzł w trwodze tej chłopczyka.
A pan Jerzy wrzeszczy: „boli!”

Do śniadania raz pan Jerzy
Siadł z początku jak należy.
Lecz, za ledwie przeszła chwila,
A on już się po coś schyla.
„Ej, siedź cicho, tatuś powie,
Bo wnet będzie guz na głowie,
Spadniesz z krzesła na podłogę,
I, broń Boże, zwiczniesz nogę,”
Tatuś mówi... Ale co to?...



Jurek wciąż zajęty psota,
I gdy udaje pajaca,
Trach! krzeselko się przewraca,
Figlarz spada, obrus chwyta,

I z pod skorup się gramoli,
Zbity, gdyż nań wszystko spadło
Wyglądał, jak czupiradło.
Od wypadku jednak tego,

Nie ma pana Kręcickiego.
I jest teraz mały Jerzy,
Chłopczyk grzeczny, jak należy

O Józiu Gapieliu.



Dobre serce, miła buzia,
Sliczny chłopczyk byłby z Józia,
Gdyby mówiąc między nami,
Nie zagapiał się czasami.
Zamiast patrzeć wprost przed siebie
Ciągłe szuka coś po niebie,
Wznosi oczy hen do góry.
Czy on szuka w niebie dziury?

Patrząc gdzieś tam w górę het,
Raz z książeczką gapuś szedł.
Idzie sobie, aż ci tu

To też i wygląda ładnie!
To z pagórka nadół spadnie,

To odbije się od ściany,
Wiecznie chodzi podrapany.
Codziennie ma przygodę nową:
Raz o drzwi się wyciął głową,
Raz do rowu wpadł po szyję,
Dziwy, że się nie zabije!



Wtem, jak padnie nagle: klap!
Obaj leżą! Patrzcie jak!...
Jęczy Józio, stęka psiak.
Potłukli się gapie dwaj,
Oba wrzeszczą: „Aj! aj! aj!”
Z wielkim wstydem Józio wstał,
Podrapane ręce miał,
I kolana stał do krwi.
Poprawił się... na trzy dni...
W jeden piękny dzień maju,
Chciał pójść Józio do gaju,

Pędzi Azor, co ma tchu.
Azor, pies łakomy dość,
Porwał z kuchni dużą kość,
I uciekał, wielce rad,
Że tak suto będzie jadł.
Mama woła: chłopcze! zбочz!
Siostra: Józiu! W stronę skocz!
Wprost na ciebie Azor mknie.
Prędzej! bo przewróci cię.
Lecz nie słyszy mały gap!...



Więc z ciekawą książeczką,
 Idzie polem, nad rzeczka.
 Już wypadek z psem ówy,
 Dawno wyszedł mu z głowy,
 I z zadartą znów buzią,
 Idzie sobie pan Józio,
 Gdzieś do góry wznosił oezki
 I ogląda obłoczki.
 Patrzy w błękit wysoki,
 A do brzegu... dwa kroki.
 Dał krok jeden, dał drugi...
 Rymnął w wodę jak długi!
 Pluszczą nogi i dłonie
 Hej! ratunku! ktoś tonie!



Uciekają na stronę
 Małe rybki strwożone,
 W strachu każda z nich pyta:
 „A skądże ta wizyta?”
 Gdy wypadek spostrzegli,
 Robotnicy nadbiegli,

I za krótkich chwil parę
 Wyciągneli niezdare.
 Oj, ten gapuś nad gapie!
 Z włosów woda mu kapie,
 Kapie z kurtki, jak z rynny.
 Józio! kiedyż będziesz ty inny?
 Kapelus z książeczką
 Popłynęły gdzieś rzeczka.
 O! już nikt ich nie schwyta,
 Zatonęły i kwita.

Co tam działo się w domu,
 Niechęć mówić nikomu.
 Lecz sam Józio niech doda:
 „Niema czasem, jak woda!”



Okropna przygoda Zosi, co się zapałkami bawiła.



I nuż szukać. Aż w szkatułce,
Gdy z niej Zosia zdjęła wieczko,
Patrzy: leży caluteńkie
Z zapałkami pudełeczko.
Zosia chwyta je czempredzej
I otwiera wnet ciekawie
„Są zapałki! To rozumiem!
Teraz ślicznie się zabawię!”
Trzask! Zapala jedną, drugą,
Złoty płomyk błyszczy ładnie.
Ej, Zosieńko! Ej, uważaj!
Bo na suknię iskra padnie!
Kotki miauczą: „Panno Zosiu!
Panienczko nasza miła,
Wszakże ruszać te dREWienka,
Mama tobie zabroniła!
Włóż napowrót do szkatułki
Pudełeczko z zapałkami,
Lepiej książkę weź do ręki
Albo trochę potańcz z nami”:
Na miauczących kotków prośbę
Nie niezważa zła panienka;
A wtem na nią iskra pada,
Ach! już pali się sukienka!
„Gwałtu! boli” woła Zosia,

Ach! wypadek stał się straszny!
Ach! Okropna rzecz się stała!
Mama Zosi sześciolatniej
Raz do miasta wyjść musiała,
Więc do Zosi mówi małej:
„Bądźże grzeczną, moja córko,
Tu z kotkami baw się ładnie,
I nie biegaj na podwórko”:
Wyszła mama na ulicę,
Przeminęło pół godzinki,
A już nasza panna Zofia
Jakieś kwaśne robi minki.
„Ej, doprawdy, nudzi mi się
Tak wciąż bawić się z kotkami,
Ot, poszukam też w stoliczku
Pudełeczka z zapałkami!
Sakiż śliczny ich płomyczek,
I czerwone te iskiarki!
Ach! wspaniałe dla mych Mruczków
„robiłabym fajerwerki!”





Już nie żyje, lecz się pali...
 Aż na popiół się spaliła!
 Płaczą kotki poparzone:
 „Oj, Zosieńko! Zosiu miła!”
 Wraca mama. Ach! co widzi!
 Jakiż strach ją przejął wielki!
 Zamiast Zosi: dym i popiół
 I różowe pantofelki.
 Tak zginęła Zosia mała,
 Co niegrzecznie się bawiła.
 Gdyby mamy usłuchała,
 Toby pewnie do dziś żyła.

Ratujcież mnie w tej niedoli!
 Ratujcie mnie! będę grzeczna.
 Mamo! Mamo! boli! boli!”
 „Miau! nieszczęście!” kotki krzyczą
 „Miau! Okropna to przygoda!
 Nasza droga panna płonie!
 Wody! wody! gdzież jest woda?”
 Biega Zosia, jak szalona,
 Biedne kotki ją ratują,
 A płomień po jej sukni
 Wciąż się wija, wciąż się snują;
 Aż na ziemię padła wreszcie,
 Jak pochodnia gorejąca,
 I już wcale się nie rusza,
 Choć ją Mruczuś łapką trąca.



Napowietrzna podróż

Rzekła mama raz do Frania:
„Weź się, synku, do pisania,
A gdy lekeya się powiedzie,
Będzie spacer po obiedzie”.
Poszła mama, a u synka
Nieszczęgólna jakoś minka,
Okiem zerka, głową kręci,
Ale pisać nie ma chęci.
„Ej, co mi tam! Wiem co zrobię!”
Pan Franciszek myśli sobie.
Ot, nie mówiąc nie nikomu
Na kwadransik wyjdę z domu.
Pada!... Na to się poradzi,
Jest parasol przecie dziadzi”.



Frانيا pròżniaka.

I deszezochron wielki z kąta
Nasz leniuszek wnet aprząta,
Nie pomny zaś przestróg mamy,
Milczkiem, chyłkiem, zbiegł do bramy,
I do koła spoglądając,
Na ulicę smyrk! jak zając.
Idzie sobie z gestą miną,
A po niebie chmury płyną.
Wtem odrazu wiatr się zrywa.
Burza! Burza! Ach, straszliwa!
Parasolem wiatr pomiata,
Gwałtu! Franio w górę wzlata!
Czapkę wiatr gdzieś poniósł w pola...
Trzymajże się parasola!

Szcęściem podróż była krótka:
Wpadł pan Franio do ogródka,
Lecz choć bardzo potłuczony,
Biegł do domu jak szalony.
Z płaczem mamę ucałował.
Odtąd nigdy nie pròżnował,
A pamiątki miał z podróży:
Cztery sińce i guz duży.